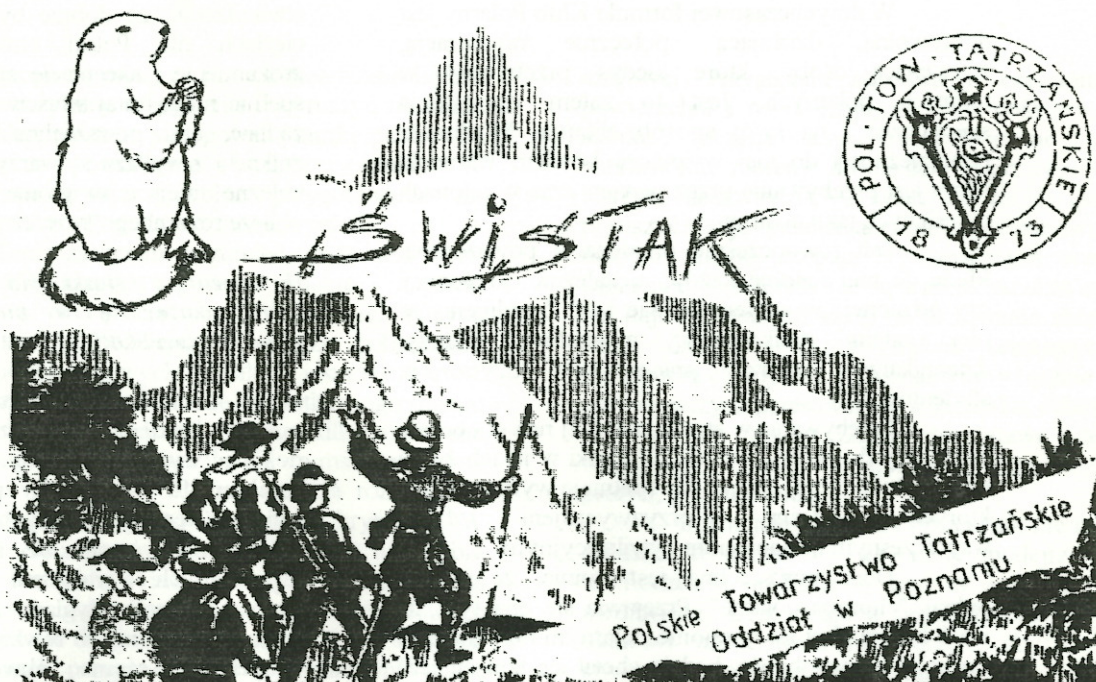




ROK IV Nr 1(33)

STYCZEŃ 1994

OD REDAKCJI:

ŻYCZĄC MIŁYM CZYTELNIKOM WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO W NOWYM ROKU, A PRZED E WSZYSTKIM JAK NAJCZĘSTSZEGO I NIOSĄCEGO WIELE WRAŻEŃ OBCOWANIA Z GÓRAMI, ZACHĘCAMY PONOWNIE DO DZIELENIA SIĘ Z NAMI, A ZA NASZYM POŚREDNICTWEM Z INNYMI CZŁONKAMI PTT SWOIMI WSPOMNIENIAMI, PRZEŻYCIAMI I UWAGAMI NA TEMAT TEGO CO NAS ŁĄCZY W TOWARZYSTWIE TATRZAŃSKIM - WZNIESIEŃ, PAGÓRKÓW, GÓREK I GÓR. CZEKAMY NA TEKSTY, FORMA JEST DOWOLNA: PROZA, POEZJA, INNE RODZAJE WYRAZU ARTYSTYCZNEGO (ZDJĘCIA, GRAFIKA, PARTYTURA). W MIARĘ MOŻLIWOŚCI TECHNICZNYCH I REDAKCYJNYCH OBIECUJEMY WSZYSTKIE MATERIAŁY PUBLIKOWAĆ W CZASIE NIE PRZEKRACZAJĄCYM TRZECH MIESIĘCY. O ILE ZAJDZIE TAKA POTRZEBA (CO JEST NASZYM POBOŻNYM ŻYCZENIEM) ZWIĘKSZYM OBJĘTOŚĆ PISEMKA. WSZYSTKO JEDNAK W RĘKACH PAŃSTWA!

TEN NUMER POŚWIĘCAMY W CAŁOŚCI WYPRAWOM POLARNYM. ZWIĄZKI NASZEGO ŚRODOWISKA Z POLARYSTYKĄ SĄ SILNE, ALE NIEWIELE OSÓB, POZA SAMYMI POLARNIKAMI ZDAJE SOBIE Z TEGO SPRAWĘ. PRZENIEŚMY SIĘ ZATEM W "KARAINĘ WIECZNYCH LODÓW", ABY CHOCIAŻ NAMIATKOWO ODCZUĆ ZE W PÓŁNOCY

Piotr Klysz

[Cytaty pochodzą z książki "POLSCY POLARNICY - Zarys historii Klubu Polarnego do roku 1992" wydanej nakładem wydawnictwa SORUS w Poznaniu w roku 1993]

Położenie geograficzne Polski sprawia, że tematyka polarna nie jest u nas szerzej znana. Z pewnością mało kto wie, że w roku 1992 minęło sześćdziesiąt lat od dnia, gdy trójka młodych Polaków (Czesław Centkiewicz, Władysław Łysakowski i Stanisław Siedlecki) lądując w 1932 roku w Arktyce, na Wyspie Niedźwiedziej, rozpoczęła, oficjalną rejestrację polskich badań polarnych.

Do dość odległych czasów należy także okres, gdy na polskim rynku pojawiło się sporo pasjonujących książek pokazujących groźny, specyficzny urok obszarów podbiegunowych. W

literaturze polskiej stało się to, w znacznej mierze udziałem i zasługą kierownika wspomnianej wyżej całorocznej wyprawy - Czesława Centkiewicza, a także jego małżonki Aliny.

Nie zmienia to jednak faktu, że dla szerokich rzesz społecznych sprawą dosyć obojętną są wycieczki grupy ludzi, którzy przez pewien czas przebywali w niegościnnych rejonach polarnych i poznali smak "lodowej" przygody. Można by rzec, że w ten swoisty sposób uzasadniali oni słusność powiedzenia - "Polak potrafi"!

W roku 1994 minie dwadzieścia lat od podjęcia przez polarników polskich decyzji o utworzeniu własnej organizacji, która nazwana została Klubem Polarnym. Chcę w tej książce przybliżyć Czytelnikowi te sprawy polskich polarników, które szczególnie wiążą się z tą ogólnopolską organizacją. Wydaje się to o tyle uzasadnione, że w Polsce informacje związane z polarystyką od pewnego czasu nie należą do częstych...

W dotychczasowej formule Klub Polarny jest dobrowolną, działającą społecznie organizacją, zrzeszającą osoby, które kiedyś przebywały w rejonach polarnych. Jest to zatem organizacja specyficzna i na swój sposób elitarna. Możliwość przynależności do niej wyznacza bowiem warunek, jakim jest przebywanie przez pewien czas w rejonach określanych jako polarne.

Jest równocześnie organizacją powszechną. Może do niej należeć każdy, niezależnie od pozycji czy pełnionej w społeczeństwie roli. Znajdujemy w niej zatem naukowców, alpinistów, lekarzy, dziennikarzy, żeglarzy, pracowników fizycznych, studentów itd.

Przebywanie w strefie polarnej nawet obecnie nie należy do zadań łatwych. Warunki w jakich żyją i działają tutaj ludzie, często nie spełniają wymogów, do których jesteśmy przyzwyczajeni dzięki współczesnym osiągnięciom cywilizacyjnym.

Dość powszechna jest opinia, że istnieje jednak "choroba polarna". Przejawia się ona tym, że jeżeli ktoś znalazł się w rejonie polarnym raz i trafi mu się kolejna sposobność, będzie chciał się tam znaleźć ponownie...

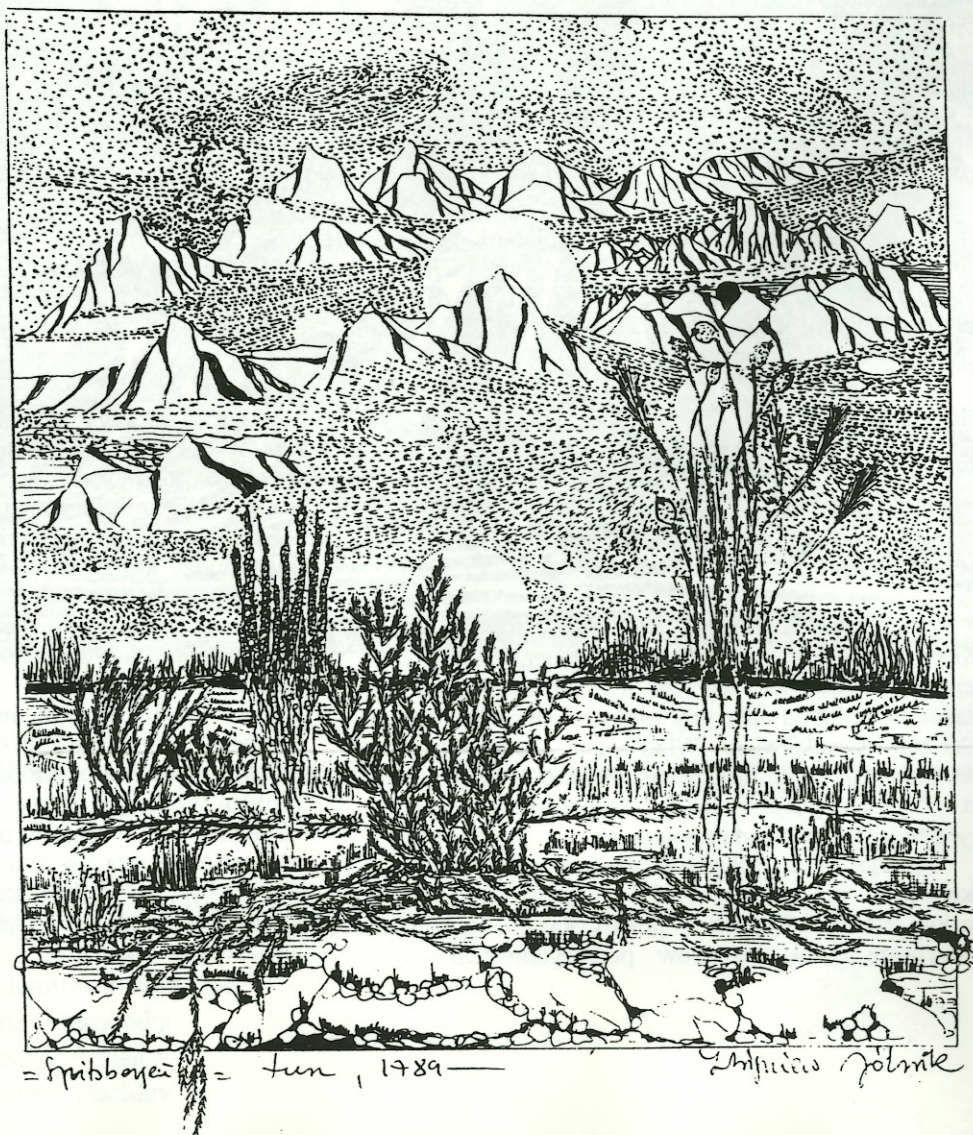
...**Klub Polarny** (a może nieco inne stowarzyszenie) **jest potrzebny**. I to nie tylko polarnikom polskim. Nie ma więc zarozumiałstwa w

stwierdzeniu, że dobrze byłoby, aby nawet w tych ciężkich dla Polski chwilach fakt ten zyskał zrozumienie i akceptację społeczną. Szczególną rolę spełnić mogą tutaj właściwi decydenci. Powinni oni zadbać, aby powszechna organizacja polarna nie zniknęła z wykazu stowarzyszeń, lecz znalazła swoje należne miejsce w gronie instytucji kształtujących oblicze rozumnego, rozważnego społeczeństwa.

[Fragmenty z książki "Na spitsbergeńskim szlaku", która ukaże się w bieżącym roku nakładem wydawnictwa SORUS]

Powoli, ale systematycznie zaczynamy porastać brudem. Jest za zimno, aby rozebrać się i dokonać wymiany bielizny. Gdyby zresztą udało się rozebrać, to wypadłoby przed założeniem czegoś świeżego, czystego, umyć się. Na ten heroizm nikt jednak zdobyć się nie mógł. Efekty zaniedbań higienicznych są widoczne. Nasze ręce coraz bardziej zmieniają swój wygląd. Stają się szare. Pocięte ciemnymi liniami w rowkach skóry. Całość obrazu uzupełniają czarne obwódki za stwardniałymi paznokciami.

Na tarczy zegarka jest godzina 14:30, zaś na dworze zimno i mgła. Wystarczy opuścić namiot na 2-3 minuty aby być zupełnie wilgotnym... Nie znam dokładnie dzisiejszego programu dnia. Przerazenie



jednak ogarnia na myśl, że już wkrótce trzeba będzie zwinąć to przytulne schronienie i wyruszyć na szlak. Póki co, kleję plastrem sfatygowaną kurtkę puchową i bez wiary w powodzenie - wilgotny śpiwór. W międzyczasie trwają powolne przygotowania do likwidacji obozu. Pogoda niezmiennie psia.

Teraz zaczynam rozumieć co to jest świat polarny. Niepotrzebne są nawet emocje i napięcia związane z obecnością na Spitsbergenie, białych niedźwiedzi - najpóźniejszych zwierząt północnych rejonów podbiegunowych. "Atrakcji" jest i tak w bród. Atrakcji wymagających przede wszystkim ogromnego wysiłku, którego wielkość jeszcze kilkanaście dni temu, tam w kraju, wydawałaby się czymś nierealnym, bo prawie nadludzkim. Ale nie czas na roztrząsanie rzeczywistości według cywilizacyjnych kryteriów. W tej chwili otacza nas nie uliczny gwar, nie dobra technika, lecz rażąca biel mokrego, gęstego mleka oblepiającego dokładnie człowieka i zawężającego widoczność nie dalej niż na odległość 50 m. W takich to warunkach przyjdzie nam w najbliższym czasie wyruszyć w nieznane...

...Pewnego dnia podczas penetracji terenowych siadam na kamienistym wale, położonym w obrębie tzw. lodu nalodzia i notuję spostrzeżenia. W pewnej chwili podnoszę głowę i mój wzrok przenosi się z zapisków na dość odległy, wysoki wał moreny

czolowej. Przyglądam się różnym częściom jego powierzchni i nagle czuję, że ciało pokrywa "gęsia skórka". i zaczyna ogarniać mnie przerażenie. Na wierzchołku moreny dostrzegam siedzącego szarobiałego niedźwiedzia. Nie wiem co robić. Boję się poruszyć. Czuję paraliżujący strach. Opanowuję się nieco i emocje ustępują błyskawicznym ocenom i kalkulacjom. Wnioski nie są wesole. Analiza sytuacji nie daje mi żadnych szans na uratowanie skóry. Nie wiem dlaczego, ale w trakcie ścigających się różnorodnych myśli z pożegnalnymi włącznie, ręka powoli zaczyna przesuwac się w kierunku, odłożonego nieco z boku czekana. Zdaję sobie sprawę z tego, że mogę nim odganiać komary, a nie bronić się przed groźną, polarną bestią.

Potencjalny, okrutny przeciwnik nie rusza się jednak. Wzbudza to we mnie podejrzliwość i równocześnie nadzieję - czy to jest na pewno niedźwiedź? Dość długo w bezruchu przypatruję się okazowi widocznemu na morenie, aby w końcu stwierdzić, że z tej strony nic mi nie grozi. Mój domniemany prześladowca jest głazem. Z miejsca, w którym się znajdowałem, do złudzenia przypominał charakterystyczną sylwetkę białego rozbójnika - uff!

Przekonałem się, jak przemożny jest wpływ sugestii, rozbudzonej licznymi opowiadaniem i różnymi wersetami zawartymi w literaturze.



Na lodowcu Cambridge

SVALBARD '87

22.06.87

Po nieprzespanej nocy pojechałem do Instytutu pomóc w pakowaniu beczek i plecaków na samochód. Było trochę nerwów, bo ten spóźnił się i był dopiero około piątej. Noce w czerwcu są krótkie, więc było już dobrze jasno, gdy odprawiliśmy bagaże do Warszawy. Mimo wczesnej pory kilka osób z rodziny i znajomych odprowadza mnie na dworzec i superekspresem "Lech" ruszamy po naszą arktyczną przygodę. Teraz można już się odprężyć. Jak się potem przekonałem tak rodzą się wszystkie wyprawy. Nerwy, nieprzespane noce, organizowanie pieniędzy, żywności, sprzętu. Czego do tej pory nie zabraliśmy, tego przez następne tygodnie już nie będziemy mieli. Ale jak doszło do tej wyprawy? Rok wcześniej wrócił ze swojej drugiej wyprawy spitsbergeńskiej człowiek, który zauroczony pięknem surowego krajobrazu podbiegunowego chciał koniecznie jeszcze raz pojechać na Spitsbergen. Idea padła na podatny grunt w Studenckim Kole Naukowym Geografów im. St. Pawłowskiego Uniwersytetu Poznańskiego i już w październiku 1986 powstała grupa inicjatywna złożona ze studentów geografii pod opieką wymienionego już Wiesława Rygielskiego zwanego "Dziadem". Początkowo skład był sześciuosobowy, do tego dwóch zaproszonych geologów z Niemiec, ale z różnych względów większość uczestników się wycofała i pozostało nas trzech. Po podzieleniu funkcji okazało się, że grupa kierownicza to większość zespołu i tak:

Wiesław Rygielski - opiekun i kierownik naukowy
Grzegorz Rachlewicz - kierownik organizacyjny
Mariusz Sprutta - uczestnik

Po pierwsze - pieniądze, po drugie - pieniądze i po trzecie - pieniądze. Oto nasza udręka przez kilka miesięcy. Bo skąd biedni studenci mają mieć niebagatelną jak na owe czasy sumę 300 tysięcy. Przez ten etap przebrnęliśmy szczęśliwie. Na listę poważniejszych sponsorów wpisali się Wojewoda Poznański, Rektor UAM, Urząd Skarbowy w Pile i Zakłady Naprawcze Rolnictwa w Wągrowcu. Widać jakie szerokie kręgi w desperacji zatoczyły nasze poszukiwania. Kolejna bariera ma charakter bardziej formalny. W tym samym roku z Instytutu Badań Czwartorzędu UAM rusza kolejna wyprawa spitsbergeńska kierowana przez prof. Wojciecha Stankowskiego. Początkowo grupa studencka ma stanowić jej część. Ale w wyniku pewnych tarć na tzw. "górze", których podłoże nie jest już dzisiaj istotne, zostajemy z niej wykluczeni, co stawia całe przedsięwzięcie pod znakiem zapytania. W końcu ustalona zostaje wersja, że jesteśmy grupą autonomiczną, ale wobec Rosjan występujemy jako jedna wyprawa. Łącznie jest nas dziewięcioro. To co robiliśmy wiosną '87 było już tylko przyjemnością, chociaż pochłonęło większą część mojego urlopu dziekańskiego. Wyjazdy do Warszawy, kupno biletów lotniczych, kompletowanie sprzętu osobistego, wyprawowego i badawczego. Jednym z najbardziej k

uriozalnych elementów wyposażenia, szokującym celników na wszystkich granicach była wieziona w plecaku łopata - podstawowy sprzęt badacza rzeźby powierzchni Ziemi. Z żywności też nie braliśmy wielkiego asortymentu jako, że większość rzeczy mieliśmy zakupić na miejscu. Jedynym naszym zapasem było pięć kilogramów rewelacyjnych jaj w proszku i kilka litrów alkoholu. Tylko na tym prowiancie nie przeżylibyśmy wiele czasu, ale porozumienia na poziomie ministerialnym pozwalały nam za niewielkie pieniądze zaopatrzyć się w górniczej osadzie Piramida. Po zapakowaniu wszystkiego każdy mógł mieć bagaż ok. 50 kg, co i tak było wykroczeniem wobec przepisów bezpieczeństwa linii lotniczych.

Warszawa - lotnisko - ostatnie pożegnania i samolotem PLL LOT w towarzystwie pani Ireny Szewińskiej, która leci na Światowy Zjazd Kobiet ruszamy via Moskwa i Murmańsk na północ.

24.06.87

Przekraczamy krąg polarny i lądujemy w Murmańsku. Nic nie wskazuje, że to daleka północ. Co prawda to początek lata ale upał jest raczej podzwrotnikowy. Chodzimy w koszulkach z krótkim rękawem, Mariusz kładzie się na trawniku, pod którym jest prawdopodobnie zmarzlina, a asfalt na drogach, także nieprzystosowany, topi się i chlapie spod kół samochodów jak błoto. Znaczymy kolejny etap naszej podróży wysłaniem pocztówek i czekamy na odlot. Czekaliśmy w sumie prawie siedem godzin ze względu na uszkodzenie naszego TU - 154. Wreszcie odlot. Oprócz naszej wyprawy na pokładzie jest jeszcze z piętnastu Polaków z różnych ośrodków naukowych. Wszyscy jednak udają się w południowe obszary Spitsbergenu. Nasze drogi rozejdą się w ostatnim cywilizowanym miejscu - lotnisku w Longyerbyen. Dalej też jest cywilizacja, ale trochę inna.

Po około godzinie lotu nad morzem w przerwach między chmurami pojawia się ład. Piękny widok, lecimy nad zachodnim wybrzeżem wyspy. Góry, fiordy, lodowce schodzące do morza. Kłębiaste chmury swoimi podstawami zaczepiają o wierzchołki. Pas startowy w Longyer jest bardzo krótki i w pewnym momencie na podejściu do lądowania ma się wrażenie, że zwalniający samolot prawie stanął w miejscu. Ładne i miękkie lądowanie, schodzimy na płytę lotniska, gdzie już czekają ludzie mający załadować się w drogę powrotną. Czuje się Skandynawię. Longyer to osada norweska. Porządek i czystość trochę kontrastują z nie najlepszym stanem technicznym helikopterów "Aeroflotu". Nie ma żadnych formalności wjazdowych. Spitsbergen to obszar pod administracją norweską, ale wolny dla wszystkich, którzy chcą prowadzić tu badania naukowe. Jest to zagwarantowane Układem Paryskim z 1920 roku. Teraz nabiera coraz większego znaczenia turystycznego i to może być zgubą dla pierwotnej

przyrody polarnej. Tutaj już się czuje chłód. Temperatura około pięciu stopni w plusie. Czekamy na swoją kolejkę do śmigłowców przewożących sukcesywnie Rosjan do ich osad - kopalni Barentsburga i Piramidy. Wreszcie ładujemy nasze bagaże i wznosząc się powoli lecimy na zachód nad Isfjorden - największym fiordem Spitsbergenu po czym skręcamy na północ w jego odnogę Billefjord kierując się do wnętrza wyspy. Po dwudziestu minutach lądujemy w radzieckiej osadzie górniczej Piramida osiągnąwszy prawie 79 stopień szerokości geograficznej północnej. Pogoda wyraźnie się zepsuła, pada śnieg - tak to na prawdę kraj polarny. Nie ma dla nas miejsca w hotelu i zostajemy przewiezieni kilka kilometrów od Piramidy do zbudowanego z desek domku. To nasza przystań na pierwsze dni, w których będziemy organizować sobie życie nad zatoką Petunia. Patrzymy na otaczający krajobraz, który nie zmieni się już dla nas zbyt przez najbliższy miesiąc. Svalbard to po norwesku znaczy Zimny Brzeg, Spitsbergen - Ostra Góra. Nazwa pierwsza dotyczy całego archipelagu, na który składają się cztery większe wyspy: Zachodni Spitsbergen, Ziemia Północno Wschodnia, Wyspa Edge'a i Wyspa Barentsa, oraz wiele mniejszych wysepek. Jest wiele z nazwy archipelagu w naszym otoczeniu zwłaszcza że zatoka Petunia jest jeszcze zamrożona. Na lodzie wylegują się setki fok. Ostrych szczytów, jak to jest w nazwie wyspy, na której przebywamy, raczej w okolicy nie widać, większość ma spłaszczone wierzchołki, jakkolwiek ci, którzy ją nadawali lądowali w innej części. W domku jest osiem piętrowych pryczy, piec na węgiel, stół, ławy. Odczuwamy poważne zmęczenie całonocną podróżą, nie pozbawioną wrażeń, więc zgodnie kładziemy się spać chociaż trzeba nadmienić, że zmrok nie zapadł i nie miał dla nas zapadać do 5-go sierpnia, kiedy to lądowaliśmy w drodze powrotnej na lotnisku Szeremietiewo w Moskwie.

Potem był transport na drugą stronę zatoki, zagospodarowanie się w domkach - wyprawa IBCz w Skottehytta, a my w odległym o 40 minut marszu

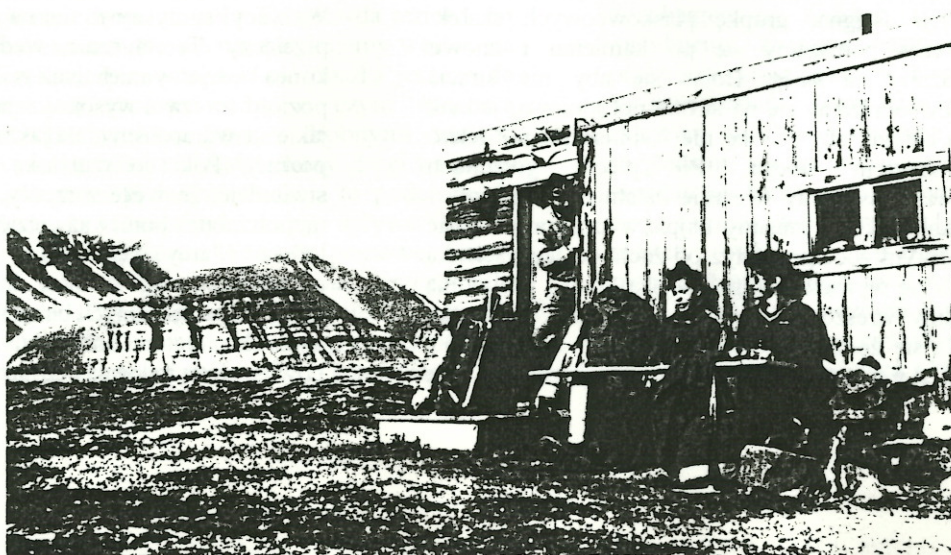
małutkim schronie traperskim, który chcieliśmy początkowo nazwać Polish Students Hut, ale okazało się, że ma już swoją nazwę - Ebbahytta. Remont dachu, budowa legowisk i innych sprzętów. Wodę musimy nosić w wiadrach ze strumyka, a przez małe okienko, w które sami wstawiliśmy szyby, mamy piękny widok na góry i lodowce po przeciwnej stronie Petuniabukta. Zaczynamy życie codzienne, gotowanie, sprzątanie, spanie i wyjścia w teren do pracy. Nasze poletko badawcze to przede wszystkim przedpole lodowca Hörbye, zamykającego zatokę od północy. Są i inne wyjścia, z których opis dwóch chciałbym tutaj przytoczyć.

09.07.87

Piękny dzień. Wstaliśmy o godzinie 11:00, co jak na nas jest wczesną porą, ale nie ma większego znaczenia, bo jasno i tak jest 24 godziny na dobę. Naszą aktywność stymulują raczej warunki pogodowe. Po trzech dniach nieprzerwanego deszczu czekamy z utęsknieniem na słońce i wtedy chodzimy w teren na kilkanaście godzin, nie ważne nocnych czy dziennych. Mariusz od razu poszedł do Skotte po brakujące nam w gospodarstwie rzeczy. Tam już poprzedniego wieczora dobił mały stateczek, który jak się później okazało przywiózł wyprawę w Góry Atomowe. Rozbili się oni w namiotach obok domku, co obserwowaliśmy przez lornetkę. W wyprawie tej uczestniczy między innymi znany nam z Poznania Tomek Schramm i jeszcze trzech innych Polaków. Pogoda wymarzona na wycieczkę, więc Skotte uwolniła się od trzech Hiszpanów, którzy kiblowali tam od kilku dni, słabo posługiwali się językiem angielskim i wyraźnie działali na nerwy naszym naukowcom. Po powrocie Mariusza i śniadaniu zbieramy się do wyjścia.

Najpierw pomiary na Hörbyem, a potem w górę na Birger Jonson Fjellet. Jest to góra pięknie widoczna z naszego domku, nie najwyższa w okolicy, ale opadająca szeroką ścianą zbudowaną ze skał krystalicznych do dolin lodowców Hörbye i Sven.

Ebbahytta - baza wyprawy. Od lewej: Wiesław Rygielski, Mariusz Sprutta, Grzegorz Rachlewicz



Posiada ona trzy wierzchołki. Najbliżej nas wznosi się śnieżną kopułą, dalej nad granią góruje trochę wyższa grupa skałek, by wreszcie kulminować w charakterystycznym zębie skalnym. My wchodzimy pierwszym żlebem za przełamaniem ściany wschodniej w południową. Najpierw po stromych piargach do żlebu, przechodząc pod grzędą skalną, którą początkowo chcieliśmy się wspinać. Po dokładnym oglądzie stwierdzamy, że skała jest bardzo zwietrzała. Wybieramy zatem wariant w pierwszej fazie łatwiejszy, bo dnem żlebu, nie wiedząc jednak co będzie za jego załamaniem w podszczytowej partii. Częściowo po śniegu, a częściowo po kamieniach wznosimy się coraz wyżej i coraz szerzej otwiera się przed nami horyzont w kierunku południowym. Widoczność jest niesamowita, jak potem oceniamy góry znikające Billefjord, widoczne "jak na dłoni" z nieomal wszystkimi szczegółami grani i żlebow są oddalone od nas o około 50 kilometrów. Żleb "staje dęba" i w ostatniej jego części uciekamy z prawie pionowego śniegu na boczną ścianę, która chociaż mocno osypująca się nie sprawia dużych trudności technicznych. W ten sposób wydostajemy się na duże spłaszczenie południowo wschodniej grani mniej więcej w połowie jej wysokości. Jako, że startowaliśmy z poziomu morza mamy już zrobionych około 300 m różnicy wzniesień. Stąd w górę w zasadzie grzędą, która przeszła tutaj w strome piarżysko, pod koniec skałkami na podszczytowe plateau pokryte śniegiem. Po dość twardym śniegu, łagodnie wznoszącym się stokiem wychodzimy na grani w najwyższym miejscu śnieżnej kopuły. Nie będzie już dalej ostrych podejść, więc siadamy na plecach podziwiając widok, który otworzył się w kierunku północno-wschodnim, na Góry Atomowe rozciągające się za lodowym Plateau Lomonosowa. Ładnie wygląda też z górą dolina Svena z wciętym w jej zbocze zawieszonym lodowczykiem bez nazwy. Zgodnie z tradycją naszych wypraw w ten rejon możemy sobie nadać jakieś nazwy, więc Wiesiek proponuje dla mnie nazwać ten lodowczyk Greggreen. Ja jednak myślę już od dawna aby nazwa nadana przeze mnie była poświęcona pamięci koleżanki, która zginęła w Tatrach - postanawiam więc mianować go Hannabren.

Z kopuły po jakimś czasie ruszamy granią, która od strony północnej wywiesza się kilkumetrowymi nawisami nad stromą ścianą opadającą do lodowca Karcza, by po kilkunastu minutach osiągnąć grupkę piaskowcowych skałek. Jakiś czas poruszamy się po kamieniu i znowu wchodzimy na śnieg. Bojąc się aby nie stracić nawisów obniżamy się na stronę południową, jednak nie za bardzo, aby się nie wspinać po już lekko rozmarznętym śniegu. Po pięciu godzinach wspinaczki osiągamy wreszcie ostatnie wzniesienie - ząb skalny, który musimy najpierw przetraversować zwietrzałym zboczem, gdyż od zachodu jego ścianka mocno się wywiesza. Łagodniejszą granią zachodnią osiągamy wreszcie ostateczny cel naszej wycieczki. Zrobiła się godzina 21:00, ale jest cały czas jasno i słońce stoi wysoko nad zachodnim horyzontem. Nie

musimy się spieszyć, chociaż po zjedzeniu ostatnich kawałków czekolady będzie nas gnał do domu głód. Robimy tak zwane zdjęcia szczytowe i rozpoczynamy dość uciążliwe zejście śnieżnym stokiem poprzecinanym płatami piargu. Zagłębiając się ponad górne partie lodowca Sven przekraczamy linię cienia i robi się trochę zimniej zwłaszcza, że moje pojedyncze skórzane buty dawno już przemokły. Ponad dnem małego kociołka o stromych ściankach musimy znowu zacząć trawersować stoki Birger Jonssona. Jest to odcinek najbardziej uciążliwy. Stale napięta uwaga, aby nie obsunąć się na kamieniach i jednocześnie nie wykręcać osłabionych stóp. Woda w butach chłupie, a końca trawersu nie widać. Wreszcie czoło Svena z wystającą wśród wyglądów lodowcowych charakterystyczną bulą skalną nazwaną przez nas "Głową Trolle". Wdrapujemy się na to wzniesienie co wcale nie jest proste ze względu na wypolerowanie jej ścianek. Jeszcze trudniejsze jest zejście, ale jakoś nam się to udaje jak i dalsze zsuniecie się żlebem prawie na poziom morza. Tutaj jesteśmy już na znanym sobie terenie otoczenia zatoki Petunia. Zabieramy zostawione przed czołem lodowca Hörbye kalosze i jeszcze krótki marsz do domku. Jesteśmy na miejscu ok. godziny 1:00, a więc po 12 godzinach marszu. Przygotowanie kolacji i kładzenie się spać zajmuje nam dalsze dwie godziny. Tak kończy się nasze pierwsze spotkanie z polarnym wspinaniem.

11/12.07.87

Wstajemy z samego rana. Jest sobota - dzień wyjścia nad Hoglandvatnet ("vatnet" po norwesku znaczy jezioro) a dla nas dalej, nad Austfjord. Przed 9:30 przychodzą pierwsi nasi towarzysze drogi - państwo Stankowscy, którzy wyszli wcześniej ze Skottehytta. Jako, że jesteśmy już spakowani przy śniadaniu rozmawiając czekamy na resztę ludzi. Przychodzą dopiero ok. 11:00 i po podzieleniu sprzętu ruszamy. Bagażu mamy sporo więc droga nie będzie łatwa. Obładowani sprzętem naukowym, biwakowym, jedzeniem i rzeczami osobistymi ruszamy po jakiejś pół godzinie. Szyk rwie się z samego początku i w małych grupkach pniemy się z razu wylotem doliny Hörbye, by po jakimś czasie skręcić w Rygdalen - jej wschodnie odgałęzienie. Wiesiek wybiera drogę dnem, a my trawersujemy prawym zboczem, co okazało się poważnym błędem. Mamy niby nad nim przewagę wysokości, ale w gumowych kaloszach idzie się bardzo źle w skos po stromym piarżystym stoku. Wszyscy spotykamy się na dłuższym popasie na przełęczy. Teoretycznie, według mapy do samego końca będziemy mieli teraz w dół, bo musimy zejść na poziom morza z wysokości jakichś 550 m n.p.m. na jakie się wdrapaliśmy, ale jakże to złudne dowiemy się później. Póki co rzut oka w dół pozwala nam stwierdzić, że ~~w dół~~ z rzeczy, które niesiemy będzie niepotrzebne ponieważ jezioro jest jeszcze skute lodem. Mamy na przykład ponton i próbniki do pobierania z niego osadów dna jeziora. Ładnych parę kilogramów niesionych bez potrzeby. Takie jest jednak życie eksploratora. Schodzimy w dół pokrytą śniegiem powierzchnią lodowca bez nazwy, z lekkim strachem,



Namiot wyprawy na tle doliny lodowca Sven

bo nikt nie zna konfiguracji szczelin w tym rejonie. Opada on jednak dosyć łagodnie w kierunku ogromnej rzeki lodu jaką jest lodowiec Mittag-Leffler staczający swe szaro-białe cielsko z Plateau Lomonosowa na północ w kierunku Austfiordu. Stajemy na biwak na płaskiej żwirowo-kamienistej plaży nad jeziorem. Rozbijamy namioty i gdy zabieramy się do gotowania na benzynowych palnikach lekko spóźnionego obiadu zaczynają w powietrzu wirować pierwsze płatki śniegu.

Po godzinie odpoczynku na zregenerowanie sił i przejście bólu w plecach po noszeniu ciężkich worów żegnamy się z towarzyszami i ruszamy mając po prawej wspomniany już Mittag-Lefflerbreen z płynącą przy jego krawędzi rzeką, przez którą usilnie będziemy próbowali znaleźć przeprawę w naszej dalszej wędrówce. Po lewej ręce wznosi się na kilkaset metrów zbocze Góry Trójkolorowej - Tricolorfjellet. Specyficzna budowa geologiczna tego masywu uwidacznia warstwy skał w kolorach zielonkawym, brunatnoczerwonym i szarym, a formacja ta ciągnie się aż do następnego rozszerzenia doliny w którym ulokowane jest ujście kilku lodowców i kolejne jezioro Aland. Rzeka lodowcowa jest znowu nie do przejścia i pozostaje nam droga dookoła. Co prawda jezioro jest częściowo zamrożone, ale nie ryzykujemy wejścia na lód. Szczęśliwie po roztopach nie doszło jeszcze do maksymalnych stanów wody, o czym świadczą rozległe pólki brzegowe pokryte drobnymi osadami piasku i mułu, ale i tak nakładamy drogi na jakieś dwie i pół godziny. Jedyną atrakcją to podejście do czoła lodowca Cambridge, który spływa boczną dolinką, a ukazuje bardzo ładnie w pionowej ścianie strukturę lodu. Potem czekają nas jeszcze inne niespodzianki. Spacer po półce wciśniętej pomiędzy zbocza Odelfjellet i rzekę lodowcową, spacer podczas którego nogi wykręcają się na obłych kamieniach.

Kamienie, kamienie, kamienie. Każdy krok okupiony jest bólem w stawach skokowych. Każdy większy głaz budzi nadzieję, że to już chatka traperska, do której mamy dojść. W pewnym momencie nasz strach budzi groźny ślad odcisnięty w dnie wyschniętej kałuży. Nie przypomina zupełnie zarysu podeszwy buta i jedyna myśl jaka nam się nasuwa to szlak niedźwiedzi polarnych. Mamy co prawda pistolet i to kaliber 9 mm, ale kto by strzelał i komu nie zatrząśnie się ręka. A może te domy z kamienia i ślady to tylko halucynacje? W końcu zmęczenie bierze górę nad strachem i ruszamy dalej. Lodowiec z prawej chudnie w miarę naszego posuwania się na północ i wreszcie po 15 godzinach marszu ukazuje się Morze Arktyczne w postaci długiego, wąskiego fiordu. O 4:30 stoimy nad Austfjordem i przy jednej z morenek na prawdę widać Overgangshytte - Domek Wędrowca - małą, na szczęście pustą dzisiaj chatkę. W środku dwie prycze, stół, piec, narąbane drewno, węgiel, naczynia, narzędzia, a na stryszku resztki pontonu "Made in Poland" i w ogóle wiele pozostałości po naszych rodakach. Zerkamy do pamiątkowej książki i rzeczywiście, są tam wpisy z wypraw prof. Ryszarda Schramma, który wraz z towarzyszami opływał Spitsbergen na łódkach i był tutaj dwukrotnie. Znajdujemy znajome nazwiska, przypominają się przezrocza, które pokazywali na prelekcjach w Klubie Wysokogórskim. Jemy śniadanie, będące zarazem zaległym obiadem i kolacją i około godziny ósmej rozglądamy się za możliwościami spania. W chatce znajdujemy karty, gramy zatem o wszystko. Wypada, że ja zajmuję dolną pryczę, Dziad górą, a Mariusz niestety stół. Po zabezpieczeniu drzwi przed nieporządany białym intruzem zasypiamy.

Budzę się późnym popołudniem. Pogoda jest ładna. Zwlekam się po cichutku z pryczy i idę na mały spacer w kierunku lodowca. Ciszę złóca tylko szum



morza i od czasu do czasu przytłumiony grzmot walących się do wody bloków lodu. Odległość do opadającego stromym lodowym klifem, czoła jest jednak tak duża, że udaje mi się za każdym razem zaobserwować tylko falę na wodzie i wylaniającą się po kilku chwilach górę lodową. W pobliżu domku odnajduję beczki i kanistry z benzyną. Jak się okazuje z dalszej lektury chatkowej kroniki, jest to ulubione miejsce wiosennych wycieczek Norwegów z Longyerbyen, którzy docierają tutaj na skuterach śnieżnych przez zamrożony Isfjord i lodowce. Gdy wracam chłopcy już wstają i gotujemy coś do zjedzenia, a potem udajemy się na wycieczkę wybrzeżem zbierając po drodze różne "dary morza". Leży tutaj cały śmietnik cywilizacyjny od drewna dryftowego po plastik. Bojki, sieci, liny, pojemniki na ryby, buty itd. Każdy obławia się co bardziej kolorowymi ciekawostkami na pamiątkę, a oprócz tego znajdujemy puszkę oranżady, kartonik z sokiem i pomarańczę. Napoje okazują się zdatne do spożycia, natomiast owoc jest tak przesiąknięty wodą morską, że musimy go wyrzucić rybkom. Tego dnia, jak wynika z mapy posunęliśmy się gdzieś do 78°55'20" szerokości geograficznej północnej ustanawiając w ten sposób swój rekord życiowy.

13/14.07.87

Znowu spaliśmy jakieś 12 godzin odrabiając zaległości z poprzednich dni. Jedzenie, sprzątanie, rąbanie drewna dla tych co przyjdą po nas zajmuje nam czas do 18:30. Po wpisaniu się do książki ruszamy. 13-go okazuje się pechowy dla mnie. Pierwsza rzecz to sforsowanie Alandelvy - rzeki brzeżnej lodowca Mittag-Leffler, która przy swoim ujściu nie jest wcale mniej rwąca niż w górnym biegu. Chcieliśmy w ten sposób uniknąć obchodzenia Alandvatnet. Losujemy kolejność przejścia - wypada na mnie. Sciągam buty, spodnie, skarpety i w samych woderach, przewiązany liną wchodzę do wody. Mam na sobie plecak, bo stwierdziliśmy, że większą masę trudniej będzie przewrócić. Prawie dochodzę do drugiego brzegu, gdy woda wlewa mi się do butów, okazuje się, że nurt płynie właśnie tam i podcina mnie. Gdy po kilkunastu sekundach walki z prądem udaje się chłopcom

wyciągnąć mnie na brzeg czuję się już lekko podmarznięty od wody mającej niewiele ponad 0°C. Spiwór i większość ubrań z plecaka mam mokre. Wiesiek i Mariusz dzielą się ze mną swoimi rzeczami i po ostatecznym zrezygnowaniu z wejścia na lodowiec ruszamy starym szlakiem. Całe szczęście zaczyna wiecieć słońce. Nie robi się może od tego cieplej, ale trochę raźniej. Nasza droga nie jest jednak powieleniem drogi w tą stronę, gdyż po dojściu nad Aland postanawiamy przetrzeć nowy szlak, prawdopodobnie nie robiony jeszcze przez Polaków. Pochłaniamy absolutnie żelazne racje żywności i ruszamy w górę lodowcem Cambridge. Pogoda robi się bardzo ładna i wiele radości sprawia nam wznoszenie się coraz wyżej, ku zamykającej widok od wschodu przełęczy. Gdy wchodzimy na śnieg wiążemy się liną, by uniknąć niespodzianek związanych ze szczelinami na nieznanym lodowcu i trawersując go w górnej partii pola firnowego docieramy na stoki pod przełęczą. Widok na drugą stronę wydłuża nam twarz ze zdziwienia. Krajobraz jest zupełnie nieznan. Jakiś lodowiec, nie widać znajomej zatoki, inne góry. Jest 3:50, nie mamy już nic do żarcia. Pewnie trzeba będzie zejść na dół i wspiąć się na następny grzbiet. Lekko licząc oceniamy to na kolejne cztery godziny. Zaczynamy opuszczać się stromym zboczem i ku naszej radości zza zakrętu doliny wylania się Piramida - charakterystyczny szczyt nad naszą zatoką. Odetchnęliśmy z ulgą, a więc lodowiec pod nami to Hörbye, dobry znajomy tylko, że widziany z innej strony zrobił nam taki kawał. Dalsze zejście, mimo skrajnego wycieńczenia nie nastręczyło większych trudności. W namiociku na morenie wypijamy herbatę opychając się zmagazynowanym tam cukrem i o 7:30 zamykamy koło naszej wyprawy w bazie.

Tego dnia znowu spaliśmy do wieczora, a potem postanowiliśmy przesiedzieć całą noc i następny dzień aby wejść w normalny rytm dobowy. Całe szczęście pogoda zepsuła się na dobre, co pozwoliło solidnie zregenerować siły przed dalszymi pracami wyprawowymi, gdyż całość epopei zakończyła się 6-go sierpnia.

Wyprawa "Svalbard '87" była wspaniałą szkołą gór i lodów dla wszystkich jej uczestników. Przyniosła oprócz satysfakcji i doświadczenia także sporo materiałów naukowych, że wspomnę tylko pierwsze miejsce na Przeglądzie Studenckich Wypraw Naukowych w 1988 roku oraz 9 opublikowanych artykułów i notatek. Wszyscy uczestnicy pozostali w swoich zainteresowaniach wierni gór i obszarom polarnym. Wiesiek Rygielski wielokrotnie potem jeździł w Himalaje, Mariusz Sprutta był uczestnikiem czterech wypraw na szczyty ośmiotysięczne i zdobył w 1991 roku Annapurnę. Autor brał udział w latach 1990 - 92 w zimowaniu na stacji antarktycznej, o czym może będzie miał możliwość opowiedzenia Państwu na tych łamach.



Z ŻYCIA ODDZIAŁU

Dnia 20-go grudnia 1993 o godzinie 17:00 odbyło się zebranie Oddziału, na którym nasi członkowie składali sobie wzajemnie życzenia świąteczne dzieląc się opłatkiem i śpiewając kolędy. Prezes Preisler tradycyjnie zapoznał uczestników z bieżącymi sprawami Towarzystwa, i poinformował o przygotowaniach do zebrania ZG PTT w Obrzycku. Na koniec oglądano film video z uroczystości odsłonięcia tablicy poświęconej Kazimierzowi Kantakowi w dolinie Kościeliskiej.

W dniach 26.12.93 - 02.01.94 Akademicki Klub Górski UAM "ORNAK" członek zbiorowy PTT O/Poznań zorganizował dla młodzieży studenckiej obóz narciarski w Bukowinie Tatrzańskiej. Mimo nie najlepszych warunków śniegowych impreza udała się doskonale. Obóz dla 30-tu uczestników prowadził Jurek Preisler.

ZEBRANIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO PTT

W dniach 7-8.01.94 odbyło się V posiedzenie Zarządu Głównego PTT zorganizowane przez Oddział Poznański w Obrzycku Wielkopolskim. W obradach wzięli udział: Dyrektor Urzędu d/s Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu mgr Lech Drożdżyński, Prezes Zarządu Głównego PTT Maciej Mischke, Sekretarz Generalny PTT Barbara Morawska-Nowak, Honorowy Prezes Oddziału Poznańskiego prof. Ryszard Wiktor Schramm, Leszek Raczyński (Opole), Maciej Zaremba (Nowy Sącz), Krzysztof Kabat (Nowy Targ), Alicja Nabzdyk (Gliwice), Marek Szwarc i Artur Tlonec (Bydgoszcz), Ewa Michalak (Ostrów Wlkp), Stanisław Trembacz (Chorzów), Józef Michlik (Młoda Hora), Wiesław Klimczyk, Antek i Karol Wachowscy (Kraków) oraz z Poznania Hieronim Krajna, Ewa Dębska, Jerzy Kozłowski, Halina Filarowska, Henryk Laurentowski, Zenon Szymankiewicz, Lech Rugała, Juliusz J. Preisler.

07.01. w piątek przewieziono uczestników zebrania z Dworca Głównego w Poznaniu autokarem do Obrzycka. Po zakwaterowaniu i kolacji o godz. 20:00 Prezes Oddziału Poznańskiego powitał zebranych gości. Z kolei głos zabrał dyr. L. Drożdżyński wręczając każdemu kilka folderów i map dotyczących województwa poznańskiego, rozdzielono także kalendarze i materiały informacyjne ofiarowane przez dyrekcję Wielkopolskiego Parku Narodowego.

08.01 w sobotę odbyła się wycieczka autokarowa do Poznania, gdzie uczestnicy zwiedzili Ostrów Tumski wraz z Katedrą oraz udali się na tereny nad jeziorem Malta. Po obejrzeniu Całorocznego Ośrodka Narciarskiego "Malta-Ski" uczestnicy otrzymali materiały o tym jedynym w naszej części Europy stoku narciarskim o sztucznej nawierzchni. Dalej trasa wycieczki prowadziła do Rogalina, gdzie zwiedzano pałac-muzeum oraz mauzoleum rodziny Raczyńskich.

Po powrocie do Obrzycka o godz. 17:00 rozpoczęto obrady, które trwały do godz. 23:00. Poruszano takie sprawy jak:

przygotowanie trzeciego tomu Pamiętnika PTT, finansowanie Towarzystwa. Wiele uwagi poświęcono Komisji Odznak. Oddział Nowy Targ przygotował odznaki z okazji 120-tej rocznicy powstania PTT, a Oddział Bydgoszcz cegielki w postaci kalendarzy na rok 1994. Poruszono również sprawę powstania Oddziału Radomskiego i wiele innych problemów bieżących. Następne zebranie Zarządu Głównego odbędzie się w kwietniu w Szczawnicy.

09.01. w niedzielę, po śniadaniu uczestnicy obrad zostali przewiezieni do

Poznania na dworzec PKP skąd udali się do domów. Osoby uczestniczące w spotkaniu, w rozmowach ze mną wyrażały swoje zadowolenie z miejsca oraz z organizacji imprezy. Po raz pierwszy w historii zebrań ZG udało się zabezpieczyć całodienne wyżywienie i interesującą wycieczkę. Szkoda tylko, że prezes Mischke nie podziękował organizatorom za ich wysiłek włożony w przygotowanie i prowadzenie spotkania.

Juliusz J. Preisler

PISALI DO NAS

- Pozdrowienia z Tatr od Krzysztofa Kabata - Oddział PTT Nowy Targ
- Życzenia Świąteczne dla Oddziału przesłał prezes Oddziału w Gliwicach Staszek Trembacz
- Życzenia noworoczne od Leszka Raczyńskiego z Opola
- Komisja Młodzieżowa ZG PTT w osobie Czesława Klimczyka przesłała plakaty informujące młodzież akademicką o możliwości wstąpienia do PTT
- Oddział w Łodzi chcąc nawiązać współpracę z naszym Oddziałem przysłał nam swój biuletyn
- Oddział Bielsko-Biała oferuje po 5000 zł za sztukę nalepki z okazji 120 rocznicy powstania PTT (wzór w załączeniu)
- Pracownia grawerska p. Aleksandra Kołodziejczyka z Krakowa wykonuje odznaki PTT w cenie 120000 zł za sztukę. Oto adres:
Aleksander Kołodziejczyk
KRAKÓW
ul. Starowiślna 50
- Zbójnicka Chata - Stary Smokowiec zaprasza w sezonie zimowym 1994. Cena za 1 noc wynosi 120 SK, każda następna 80 SK. Wyżywienie: śniadanie+kolacja 120 SK, tylko kolacja 80 SK (1 SK około 600 zł). Zaprasza kierownik schroniska p. Ludovit Zahor
- Oddział Nowy Sącz wykonał pamiątkowe odznaki z okazji 120-tej rocznicy powstania PTT. Są do nabycia w naszym Oddziale po 20000 zł za sztukę

- Oddział Bydgoszcz wyprodukował kalendarze - cegielki na rok 1994 cena 1 sztuki 10000 zł. Do nabycia u panów Szymankiewicza, Preislera, Kozłowskiego, Rugały, Krajny.

PISMA ODDZIAŁÓW

- Oddział Świętokrzyski wydał 14 numer swojego biuletynu. Ukazały się takie artykuły jak: W co się bawić?, Ludzie listy piszą, Regionalizm.
- Ukazał się listopadowy numer "Świstaka". W nim wiele wiadomości o Kazimierzu Kantaku i uroczystościach, które odbyły się w dniu 1 października 1993
- Pracownia Organizacji Turystyki i Krajoznawstwa UAM wydała Zeszyt nr 4 w opracowaniu W. Rynarzewskiego i J.J. Preislera pt. "Proza o Tatrach"
- Ukazały się nr 9 i 10 "Wołania", pisma Oddziału Krakowskiego PTT. Do nabycia u nas.
- Ukazały się numery 10 i 11 informatora ZG PTT "Co Słyszać?"

PISALI O NAS

- Gazeta Poznańska
 - Dziennik Poznański
 - Ekspres Poznański
- Zainteresowanych odsyłamy do archiwów wymienionych redakcji.

GÓRSKA ODZNAKA TURYSTYCZNA PTT

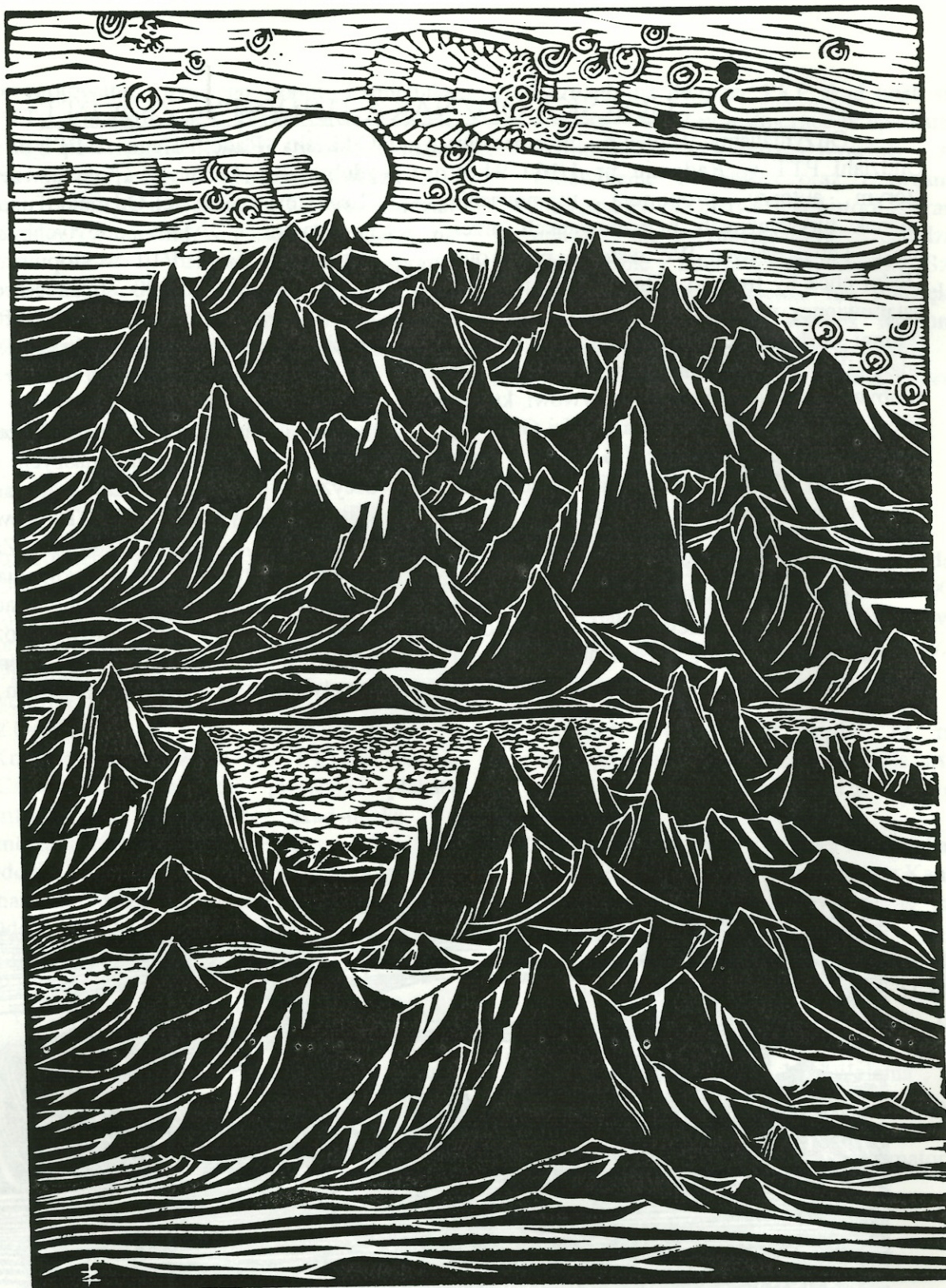
Otrzymaliśmy Biuletyn Informacyjny Oddziału PTT w Radomiu nr 1/16/I 94 w którym autorzy proponują ustanowienie odznak turystycznych przyznawanych przez nasze Towarzystwo. We wstępie piszą oni: "Jedni chcą by była to pełna restytucja GOT ustanowionej w 1935 r. przez PTT, inni skłonni są do zmodyfikowania regulaminu tej odznaki by maksymalnie uprościć zasady jej zdobywania. Są też tacy i to wpływowi, którzy w ogóle nie chcą reaktywowania idei GOT-u. Komisja ustanowiona przez ZG PTT w maju 1993 r. do chwili obecnej nie przedstawiła żadnych propozycji w tej sprawie. A zatem Zarządy Oddziałów PTT powinny wziąć sprawę w "swoje ręce".

Aby ułatwić podjęcie właściwej decyzji drukujemy w niniejszym informatorze pierwszy Regulamin Górskiej Odznaki Turystycznej PTT z roku 1935 oraz projekt

Oddziału Radomskiego PTT pt. "Zasady zdobywania GOT PTT" wraz ze wzorem "Legitymacji Górskiej Odznaki Turystycznej" i wzorem "Wykaz odbytych wycieczek górskich do GOT PTT w stopniu". Jak widać nie ma tu 200 stronicowego spisu wycieczek punktowanych do GOT PTTK, ani 50-cio stronicowej Książeczki GOT PTTK."

Dalsze komentarze oraz wszystkie załączone dokumenty znajdują się w posiadaniu naszego Oddziału. Pozostawiamy ocenie i zaangażowaniu naszych członków decyzję podjęcia trudu zorganizowania systemu zdobywania GOT PTT i ewentualnej weryfikacji kolejnych stopni. Zachęcamy zainteresowanych do stworzenia grupy inicjatywnej, która zajmie się opracowaniem założeń GOT PTT w Oddziale Poznańskim, wszak jest to piękna idea propagowania turystyki pieszej w ojczystych górach.





Reprodukowane grafiki o tematyce polarnej są dziełem Zbigniewa Józwicka

DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO

Redaguje kolegium w składzie:

Halina Filarowska

Juliusz J. Preisler

Grzegorz Rachlewicz